

Jan Herman

Felieton - Moja Polska

Jestem Środkowo-Europejczykiem, i nie jest to zdanie napisane w trosce o to tylko, by mnie prawidłowo kojarzono z „adresem”, ale po to, by wskazać na różnicę między trójkątem Paryż-Londyn-Rzym – a czworokątem: Praha-Kraków-Budapeszt-Zagrzeb. Dla tych mniej obeznanych – niech ważna okaże się informacja, że w miastach tych funkcjonują najstarsze w tej części świata uniwersytety (ich paletę uzupełnia Wilno, Lwów, Dorpat – a Wiedeń wydaje się dobrym zwornikiem obu paradygmatów kulturowo-cywilizacyjnych).

Europa Środkowa rozpościera się w przestrzeni między Słowiańszczyzną, Germanią i Bizancjum. Wszystkie trzy żywioły nie dość, że są sobie równorzędne, to jeszcze „pamiętają” swoją genezę „spoza Limesu” (niegdyś historyczna granica między Imperium Romanum i Barbarią). Politycznie region ten oznacza około 30 różnorodnych państw, w tym przegraną w grach mocarstwowych Rzeczpospolitą Narodów (obojsza, a może czworga...?). To w tym regionie miały miejsce ważne dla „starego świata” boje o kondycję cywilizacji, takie jak kampania Sobieskiego (Wiedeń) czy Jagiełły (Grunwald). Pierwsza z nich uchroniła Święte Cesarstwo przed nawałnicą orientalną, druga zaś uchroniła Rzeczpospolitą przed pogardą kondotierów papieskich.

Doprawdy, mamy za co – i mamy prawo – ucierać nosa Europie, tej traktującej wciąż jeszcze tereny za Łabą i Dunajem jak prowincję barbarzyńską. Oczywiście, niezmiennie trwa dyplomatyczna „udawanka”, której elementem jest sprzedawczyk Tusk, ale mamy akurat taki czas, że ta „rdzenna” Europa (przypomnijmy: Paryż-Londyn-Rzym) angażuje nasz (środkowoeuropejski) region świata w jakieś manewry z naszą podrzędnością w tle.

Jeszcze jedna uwaga, nieco przekorna wobec polonocentryzmu: ciężar gatunkowy Europy Środkowej określa nie tylko to, co mamy na północ od Karpat, ale też na południe od nich, z czego Polacy, wpatrzeni w środkowoeuropejską dwubiegunowość (Rosja-Zachód), nie do końca sobie zdają sprawę, pomijając znaczenie dla Europy Środkowej choćby wszystkiego, co do kultury wnosi wciąż Porta.

* * *

Odpowiedzią na wygasający projekt Euroregionów (pierwotnie mający kolonialnie rozmyć polityczne granice Barbarii zza Łaby-Dunaju, choć pozorujący euro-universalizm) – jest (a może już była?) Grupa Wyszehradzka (V4), w założeniu parysko-rzymsko-londyńskich elit politycznych mająca włączyć ten „bufor przeciw-rosyjski” do gry pod ich (elit) przywództwem. Warto w tym kontekście przypomnieć, datowany już na stulecie, spisek anglosaskiej dynastii brytyjskiej, uknuty pośród spacerów na „rodzinnych” wczasach rodzin monarchicznych w duńskim Fredensborgu przeciw Habsburgom, od którego zaczęła się Pierwsza Wojna, a którego ubocznym skutkiem był polityczny sukces Lenina (autora kontr-europejskiego projektu Kraju Rad) i reorientacja Ameryki Północnej na powrót ku Staremu Kontynentowi, a to oznaczało „poprawkę” w postaci Drugiej Wojny, już pod „nieśmiało” dyktando Amerykanów, którzy ten rozdział zamknęli zatrudniając nazistę Waltera Hallsteina (swego czasu „redaktora naczelnego” projektu Groß-Europa) do „demokratycznego” powołania Unii Europejskiej. To, że polskim władzom nieco brakuje fantazji i wyobraźni globalnej – nie oznacza, że V4

pozostaje na marginesie zainteresowań chińskich, które w wojnie amerykańsko-chińskiej objawiają się polityką „salami” wobec narzędzia kolonizacji amerykańskiej, jakim jest Unia Europejska. Amerykanie – którzy spektakularnie przegrywają rozgrywki orientalnie-bliskowschodnie – są bliscy ostatecznego zmięczenia „demokratycznej dominacji” na kontynencie europejskim, a widowym tego objawem jest Brexit i najprawdopodobniej Polesit. Nikt już dziś nie chce pamiętać, że amerykańska kolonizacja Europy (po dwóch wojnach światowych) stworzyła w reakcji kolonizację Europy Środkowej przez RWPG i Układ Warszawski. Dziś w modzie jest przypominanie różnice między totalitaryzmami bolszewickim i amerykańskim (anglosaskim), przy czym w powszechniej (niestety) narracji – ten anglosaski totalitaryzm jest nazywany demokracją (dodajmy: w gruncie rzeczy kpiarsko i szyderczo), a ten „radziecki” jest nazywany od nazwiska następcy Piotra Wielkiego – putinizmem, choć dociera się w bólach rola Putina jako „zastępcy” Xi Jinpinga w nowoczesnym skądinąd bloku multi-gospodarczym BRICS.

Władze polskie, na szczęście mające duży dystans do globalnego projektu redagowanego od czasów Hallsteina, postawią zapewne kropkę nad przysłowiowym „i”, kiedy w kolejnych rozdaniach przy (ponoć) demokratycznym stole europejskim postawią jasno sprawę przyszłości V4: nie będzie „stara” Unia dyrdymać o demokracji, której tam nie ma od czasów sprzed Imperium Romanum, tylko powinna zaprzestać kolonizacyjnych zapędów wobec Europy Środkowej, bo „szlak bursztynowy” już nie działa, przynajmniej w jedną, odsysającą V4 stronę. V4 – to niemałe „hektary” w kluczowym dla Globu miejscu, zaludnione przez kilkanaście etno-żywiółów, w tym przez dwie miriady etniczne mające we krwi różnorodność i samorządność (warszawsko-wileńską i austro-węgierską). Certolenie się dyktatem unio-europejskim po prostu nie przystoi, zwłaszcza – przypomnijmy – po kampanii wiedeńskiej (Sobieskiego) i grunwaldzkiej (Jagiello), a pomniejszych kampanii znalazłoby się jeszcze kilka, po obu stronach Karpat.

Więc o demokracji możemy pogadać, jak już świat zapomni o „gułagach” niemieckich i amerykańskich, ale przede wszystkim o spisku z Fredensborgu, którego owocem i dziedzictwem jest Unia Europejska. Nie mówiąc o de-cywilizacyjnych projektach współczesnych.

Jan Herman